

A close-up portrait of a woman with dark hair, smiling broadly. She is wearing a pink textured beret and a matching pink jacket with a dark blue collar and buttons. The background is a soft, out-of-focus outdoor setting.

N.M. KELBY

TEN  
SŁYNNY  
KOSTIUM

„MODA PRZEMIJA, STYL POZOSTAJE”.  
COCO CHANEL



Nicole Mary Kelby

# Ten słynny kostium

*tłumaczenie*

*Nina Dzierżawska*

mędzy  
słowami

Tytuł oryginału  
*The Pink Suit*

Copyright © 2014 by Nicole Mary Kelby

Copyright © for the translation by Nina Dzierżawska

Projekt okładki  
Magda Kuc

Fotografia na pierwszej stronie okładki  
Copyright © RDA/Getty Images

Opieka redakcyjna  
Aleksandra Kamińska  
Ewa Polańska

Opracowanie tekstu i przygotowanie do druku  
Editio

ISBN 978-83-240-2691-3

Między Słowami  
30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
E-mail: [promocja@miedzy.slowami.pl](mailto:promocja@miedzy.slowami.pl)  
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569

Wydanie I, Kraków 2015  
Druk: Colonel

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*[Prezydentura] była jak film, a ja miałem okazję ubierać  
odtwórczynię głównej roli żeńskiej.*

Oleg Cassini

**Wrzesień, rok 1961**

W gazecie obok zdjęcia Pierwszej Damy w Palm Beach był artykuł o autobusie dalekobieżnym, na który w Dzień Matki zrzucono bombę zapalającą. Minister sprawiedliwości, nazywany przez wszystkich w Inwood po prostu Bobbym, zakończył dochodzenie i winnymi ogłosił „ekstremistów po obu stronach”. Co za szkoda, że artykuł zamieszczono obok zdjęcia Żony, która – po spędzeniu weekendu nad basenem w towarzystwie teściów, dzieci i doborowej sfory psów – wyglądała na taką szczęśliwą. Wiadomość o zamachu wydawała się przez to jeszcze smutniejsza. Kate z przykrością czytała, że tego typu rzeczy jeszcze się dzieją, i to w Dzień Matki. Nie miała pojęcia, co by zrobiła, gdyby matka Patricka Harrisa (pokój jej duszy) nie poręczyła za nią w Chez Ninon. Peg Harris była nadzwyczajną szwaczką. A jej syn, rzeźnik, podobnie jak ona potrafił nieźle gotować.

Kate podała gazeciarzowi dziesięciocentówkę za dwa egzemplarze, bo ogromnie jej się spodobało to zdjęcie Pierwszej Damy, po czym wsunęła swój żeton do bramki w metrze. Czekała na pociąg linii A, pomodliła się za wszystkich ludzi, którzy byli w autobusie, a także za ich matki, za własną matkę, która zmarła młodo, za matkę Patricka Harrisa, Peg, która odeszła niedawno, i za Matkę Kościoła, ot tak, żeby szepnęła za nią dobre słowo. Przez całą drogę do śródmieścia, z Inwood do Columbus Circle, Kate nie mogła oderwać wzroku od fotografii sukienki. Była bardzo twarzowa. Żona opuszczała Florydę samolotem Air Force One – uśmiechnięta, zgrabna i opalona. Miała na sobie biały szal i rękawiczki. Linia dekoltu sukienki wypadała tuż pod obojczykami, dokładnie tam, gdzie powinna być.

Kate nie była w stanie zliczyć, ile razy trzeba było poprawiać ten dekolt, żeby wypadł akurat tam, gdzie trzeba. Ale było warto. Krój sukienki prezentował się nadzwyczajnie. Tuszował każdą skazę – a było ich wiele. Kate myślała o Pierwszej Damie jako o „Nieznaczonej Lordozie”. Patrick Harris, rzeźnik, powiedział jej, że takie myślenie to rodzaj ryzyka zawodowego.

– Ja zawsze myślę o ludziach przez pryzmat tego, co kupują. Pani Leary to „Połudwica Wieprzowa ze Skórą”.

Kate, drobnokoścista kobieta o różowej cerze, zawsze się zastanawiała, jaką częścią świni jest dla Patricka, ale niewątpliwie rozumiała to odczucie – sama знаła całe rodziny wyłącznie na podstawie tego, w co się ubierały: ojcowie i synowie w pasujących garniturach o kroju rodem z Savile Row, matki i córki w identycznych szlafrokach oblamowanych króliczym futerkiem. O ile nie byli wyjątkowo sławni i nie pojawiali się w gazetach czy magazynach, Kate nie miała pojęcia, jak wyglądają. W Chez Ninon obowiązywały ściśle zasady dotyczące miejsca przebywania pracowników. Maeve zajmowała się przymiarkami. Kate nigdy nie opuszczała pokoju na zapleczu. Po prostu trzymała się znaczków na materiale. Znała zaszewki i plisy każdej osoby, ale nie ich twarze.

A jednak. Znała tych ludzi. Mało tego, wiedziała, za kogo sami się uważają. Na tym polegała jej praca. Jak tylko wyrastali z pieluch, natychmiast zaczęli potrzebować najróżniejszej garderoby na narty, do jazdy konnej, prywatnych szkół i na ferie w Paryżu – a do tego sukienek odpowiednich na lunch z mamusią w hotelu Four Seasons i tweedowych ubranek na spotkania z innymi dziećmi w Central Parku.

Ścieg po ściegu, godzina po godzinie Kate wyobrażała sobie każdy proszony obiad, każde egzotyczne wakacje, każdy bal debutantek, zupełnie tak, jakby sama je przeżywała. To był jedyne sposób, żeby ubrania wyglądały jak należy. Musiała rozumieć, jakiej długości może być narzutka, żeby nie okazała się za długa i tym samym niemodna, albo jaki rodzaj podszewki z belgijskiej koronki nadaje się do kostiumu, żeby ten pozostał przewiewny, a jednocześnie nie pomarszczył się w słońcu Karaibów. Kate miała zaledwie trzydzieści dwa lata, a już tyle z nich przeżyła pochylona w nieustannym skupieniu nad takim czy innym materiałem. Na uszycie prostej sukienki potrzebowała stu godzin. Wyszywana paciorkami suknia wieczorowa mogła zająć ponad tysiąc, czasem dwa. Ale Kate nigdy nie poznawała klientek.

Na zewnątrz stacji Columbus Circle poranek zdawał się pysznić swoją urodą. Bezkresna zieleń Central Parku obramowana była jesienną po złotą. Wokół krążyły roje dorodnych żółtych taksówek. Kate minęła rząd dorożek, przygotowujących się na nadchodzący dzień. Woźnice ozdabiali łąby koni girlandami z plastikowych kwiatów. Zwierzęta znosiły to ze stoickim spokojem, jakby pogodzone ze swoim losem. Od czasu do czasu któreś z nich potrząsało głową albo parskało. Nigdy jednak nie wierzgały ani nie stawały dęba. Klapki na oczach zasłaniały im świat.

Kate od dziecka kochała konie. Na Wielkiej Wyspie, w Cobh, na wybrzeżu hrabstwa Cork, dzikie konie żyły przy plaży. Jeżeli było się delikatnym i miało w ręce jabłko, czasem pozwalały zbliżyć się do siebie na tyle, żeby dało się schwytać któregoś z nich na

lasso. Jeżeli było się ostrożnym, można było nawet wśliznąć mu się na grzbiet i wtedy koń galopował wzdłuż lśniącego szafirowego morza, a człowiek mógł się do niego przytulić i posłuchać, jak bije jego nieujarzmione serce. Trzeba było jednak być bardzo delikatnym i bardzo ostrożnym. A Kate miała obie te cechy.

Miejskie konie były zupełnie inne. Nosiły kapelusze i cały boży dzień chodziły w kółko. Przypominały w tym, oczywiście, Kate.

Klip, klap – pomyślała.

\*

Z ulicy pracownia Chez Ninon prezentowała się najwyżej niepozornie. Sklep z sukniami miał na pierwszym piętrze biurowca przy Park Avenue ciąg witryn, których łatwo było nie zauważyć – i o to właśnie chodziło. W tej branży dyskrecja była cechą absolutnie kluczową. Większość klientek Chez Ninon należała do towarzystwa Błękitnej Księgi, czyli rodzin z fortunami i tradycjami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Właścicielki studia, Sophie Shonnard i Nona Park, również wywodziły się z tej sfery. Były również fantastycznymi hochsztaplerkami.

Kate słyszała, że ewolucja panny Sophie i panny Nony, która ostatecznie doprowadziła je do życia z artystycznej kradzieży, dokonywała się stopniowo i była kwestią podaży i popytu. Przez blisko czterdzieści lat „Panie” – jak same o sobie mówiły – prowadziły w domu towarowym Bonwit Teller salon, który tworzył wyłącznie oryginalne projekty. Jednak z biegiem czasu coraz więcej ich znajomych z kręgów Błękitnej Księgi pragnęło nosić modne ubrania prosto z Francji, ale w krajowej cenie. I tak panna Sophie i panna Nona w duchu przyjaźni oraz przyzwoitego zysku zaczęły latać do Paryża i podkradać najlepsze projekty z najsłynniejszych wybiegów.

Chanel, Lanvin, Nina Ricci, Cardin, Givenchy i Balenciaga – Panie uważnie oglądały każdą kolekcję, po czym biegły do najbliższej kawiarenki i szkicowały ubrania z pamięci. Po powrocie do



Nowego Jorku tworzyły ponad pięćdziesiąt projektów, ale szyły zaledwie po cztery sztuki każdego z nich. Specjalnym klientom – takim jak Pierwsza Dama – proponowały ekskluzywne egzemplarze mogących je zainteresować strojów w odpowiednio ekskluzywnej cenie. Niezależnie od domu mody, któremu Panie ukradły projekty, na gotowych ubraniach umieszczały własną metkę: „Chez Ninon. New York, Paris”. Kiedy kolekcja była gotowa, Panie otwierały szampana oraz drzwi do swojego salonu – dokładnie o piętnastej, od wtorku do czwartku. Wszystko sprzedawano na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. Wyłącznie osobom zaproszonym.

Chambre Syndicale de la Haute Couture et du Prêt-à-Porter co sezon zmuszało Chez Ninon do zapłacenia „kaucji” francuskim projektantom. Panie zawsze wymawiały to jako „kałucja” – suma była tak ogromna, że mogły wymawiać to sobie, jak im się żywnie podobało. Jeżeli nie zapłaciły, nie miały wstępu na pokazy mody. Ale płaciły za każdym razem. Nie sposób było ich wyrzucić.

Panna Nona miała ponad siedemdziesiąt lat, trudno było jednak ustalić, ile dokładnie. Nosiła się zawsze jak gwiazda, ubrana w oryginały ubrań, które tak bezwstydnie kopiowała, i domagała się miejsca w pierwszym rzędzie na wszystkich najsłynniejszych pokazach. Progi domów towarowych, takich jak: Macy’s, Marshall Field’s, Ohrbach’s, nawet Bonwit Teller nigdy nie były dla niej przeszkodą – jeżeli Nona chciała zająć jakieś miejsce, to po prostu je zajmowała. Miała silny charakter i monarszy wygląd. Nikt nie śmiał jej odmówić. Jej współpracowniczka, Sophie – tylko odrobinę młodsza – sunęła za nią, przeprasząc i posługując się swoim południowym wdziękiem z chirurgiczną precyzją. Panie nie tolerowały ignorowania czy uciszania. Nieodmiennie wymagające stale wchodziły w drogę.

„Wspaniałe i postrzelone”, jak kiedyś określił je redaktor „Vogue’a”. Carmel Snow, naczelna „Harper’s Bazaar”, uważała je za największe „amerykańskie koneserki paryskiej mody”. Panna

Nona występowała nawet w reklamie lakieru do paznokci. Były co prawda niewątpliwie czarującymi, ale jednak piratkami.

Na szczęście dla Kate zjawiały się najwcześniej o dziesiątej.

\*

Poranne światło wlewało się przez wielkie okna. Było wczesnie. Maszyny do szycia z działu ubrań gotowych na szczęście milczały. Czarno-złote emaliowane stwory miały jeszcze pedały. Maszyny były hałaśliwe, a kiedy się przegrzały, parzyły ręce i przedramiona dziewcząt – a przegrzewały się bez przerwy. Dziewczęta z ubrań gotowych były to pracowite myszki z zaplecza, pracujące na swoich maszynach niczym na organach w kościele. Śmiały się i plotkowały, tryskały życiem. Większość miała włosy nawinięte na lokówki albo ułożone w napomadowane loczki, które utrzymywała w miejscu taśma klejąca. Dziewczyny były młode i zawsze gotowe, by wyjść wieczorem na miasto. Ich bystre oczy i zwinne ręce szyły beztrzesko i nieuważnie. Kate nigdy nie rozumiała, dlaczego tak utalentowana szwaczka jak Peg Harris spędzała czas na odszywaniu tuzinów sukienek na maszynie, lecz Peg najwyraźniej to kochała.

– Ubieranie mas to szlachetne zajęcie – powtarzała każdemu, kto ją o to zapytał.

Kate przyznawała jej rację, ale stanowczo wolała ubierać Pierwszą Damę.

Rzuciła gazety na swoje biurko i nastawiła wodę na herbatę. Słyszała głos pana Charles'a, który za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu rozmawiał przez telefon. Noel Charles był firmowym projektantem w Chez Ninon i bezpośrednim przełożonym Kate. Siwowłosy i nieskazitelny, zadbany aż po koniuszki wypolerowanych paznokci. W jego akcencie było coś europejskiego. Często wspominał o belgijskich korzeniach, ale dla Kate jego sposób mówienia nie brzmiał ani z francuska, ani z holenderska. Miał w sobie coś nieuchwytnie kontynentalnego. Zmieniał się jak kameleon i nabierał różnych odcieni w zależności od tego, z kim rozmawiał.

Miał nadzieję, że niebawem uda mu się otworzyć własną pracownię i wspominał o zabraniu ze sobą Kate jako współpracownicy. To był taki wspaniały projekt – nieważne, czy tak naprawdę miał szanse powodzenia. Kate lubiła usiąść sobie z panem Charles'em w cichej pracowni wcześniej rano. Pili herbatę i rozmawiali o ważnych sprawach, takich jak bieżące wydarzenia. Było to przyjemne i kulturalne.

Czajnik zaczął gwizdać. W szafce zostało trochę mieszanki Barry's Gold Blend, którą Kate znalazła w delikatesach w śródmieściu. Herbata była zwietrzała, mimo że drogo za nią zapłaciła, ale zwietrzały Barry's i tak był lepszy niż mieszanka z supermarketu A&P.

Z gazet, które kupiła na stacji metra, starannie wycięła zdjęcia Pierwszej Damy. Jedno było do jej albumu, a drugie wsunęła do cotygodniowego listu do ojca razem z połową swojej pensji: dwudziestoma sześcioma dolarami. Staruszek nigdy nie komentował tych wycinków, więc i ona nie pisała nic na ich temat. Była jednak zawsze ciekawa, czy dziennikarze z rubryk plotkarskich rozpoznają, że suknia od Diora wcale nie została uszyta przez niego. Poza tym cudownie było widzieć, jak ktoś nosi uszytą przez nią sukienkę – jak poruszają się w niej ramiona, jak pochyła głowa, jak mienią się paciorki. Choć minęło już tyle czasu, ujrzenie efektów swojej pracy na kimś wciąż było dla niej ekscytujące.

„Moda to sztuka tego, co możliwe” – lubiła mawiać Kate, ale była to prawda. Kiedy miała w ręku igłę i nitkę, wszystko było możliwe, zwłaszcza gdy chodziło o Pierwszą Damę, ponieważ siostra Kate, Maggie Quinn, oraz Żona nosiły dokładnie ten sam rozmiar. Kate nie mogła się powstrzymać. Dostyc regularnie przemieniała własną siostrę w „Małą J”, jak mówili na nią wszyscy w okolicy. Nikomu to nie przeszkadzało. Próbkę muslinu często wyrzucano, więc Kate tylko wyciągała je ze śmieci. Jej siostra była trochę młodsza od Żony, ale karnację miały bardzo podobną. I obie były piękne z delikatną, porcelanową urodą. Kate starała się zachowywać z należytych szacunkiem. Jeżeli tylko mogła, nie

szyla identycznego ubrania. Zazwyczaj używała zupełnie innego materiału, chociaż kolory bywały podobne. I nigdy nie zamawiała kapeluszy – chociaż Schwinn, jeden z chłopców z salonu, który zawsze przyjeżdżał do pracy na rowerze, był znakomitym kapelusznikiem.

– To coś jak machanie flagą – mówiła Kate do Maggie. – Tylko bez flagi. Wyraz patriotyzmu.

To był sposób Kate na uhonorowanie dzielnicy Inwood, jej nowego domu ukrytego w północnej części Manhattanu, w przeważającej części irlandzkiego. W Inwood prezydent był miejscowym chłopakiem, któremu się powiodło. Pierwszą komunię przyjął po sąsiedzku, w kościele św. Małgorzaty z Cortony w Riverdale. Był więc jednym z nich.

I chociaż Kate myślała o Żonie jako o osobie z nieznaczną lordożą, przez tę ciągłą jazdę konną – do tego było jeszcze to francuskie nazwisko – to Pierwsza Dama i tak należała do rodziny Lee z hrabstwa Cork. Jej matka była wnuczką irlandzkich imigrantów, którzy przyплыnęli do Ameryki w czasie głodu ziemniaczanego, w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. Kate także pochodziła z hrabstwa Cork – konkretnie z Cobh. Po angielsku „Cove”. Ta wioska była ostatnim miejscem, w którym „Titanic” zarzucił kotwicę przed rozpoczęciem podróży przez Atlantyk. Także ostatnim miejscem, które zobaczyli państwo Lee, zanim na zawsze opuścili Irlandię. I pomimo tego, że rodzina Lee właściwie pochodziła ze wsi, to według jej ojca ich krewni się znali – chociaż Staruszek zazwyczaj unikał wdawania się w szczegóły. Dlatego Kate lubiła Żonę, choćby nie wiadomo, co o niej mówili. I była przekonana, że pomimo tych wszystkich swoich francuskich manier Pierwsza Dama musi tęsknić za Wyspą. Kate tęskniła.

W dniu jej odjazdu ojciec poszedł do ogrodu i zaatakował czerwone róże najpierw nożem kuchennym, a potem własnymi zębami. Był jak wściekły pies. Kolce zostawiały na jego skórze strużki krwi. Kate wiedziała, że statek nie będzie czekać. Ojciec

także o tym wiedział. Róża po róży – tyle pozostało niewypowiedziane. Wreszcie Kate wzięła swoją walizkę i ruszyła do furtki.

– Możesz włożyć je do książki na szczęście! – krzyknął za nią.

Kate zatrzymała się i odwróciła.

Ten bezradny uśmiech. Poszarpane czerwone róże w zaciśniętej pięści. Staruszek odmówił odprowadzenia jej na przystań. Nie było to daleko, wystarczyło obejść wzgórze i przejść kawałek rozpościerającą się za nim drogą wzdłuż portu – tylko parę kilometrów. On jednak nie chciał tego zrobić. Albo nie mógł – pomyślała Kate.

Wizja Ameryki odebrała mu już Maggie i jej męża – a teraz Kate. Nie miał więcej dzieci do stracenia.

Staruszek wcisnął jej w ręce sponiewierane róże. Za nim gęsta mgła skrywała otaczającą ich bujną zieleń. Było w tym coś litościwego.

– Zostaw sobie jedną – powiedziała Kate. – Kiedy wrócę, razem będziemy mieli równy tuzin.

– Kiedy wrócisz – odparł – zasadzimy jeszcze kilka. Twojej mamie by się to spodobało. Ze grzebiemy sobie razem w ziemi.

Potem odwrócił się i wszedł do środka. Przez całe życie nie opuścił Wyspy, nie miał słów na określenie czegoś takiego.

Kate znów wzięła do ręki walizkę. Przy furcie z jednej z róż opadł płatek. A potem drugi. I kolejny. Było późno. Kate nie zatrzymała się, żeby je pozbiierać.

Płatek za płatkiem, Kate biegła długą, krętą drogą, ciągnąc za sobą walizkę. Biegła wzdłuż morza, gdzie często przesiadywali zakochani, potem główną ulicą, mijając puby z otwartymi na oścież drzwiami i pędzące w różne strony porzewiałe samochody, przez płataninę doków, pełnych walizek i smutku rozstań, aż w końcu wbiegła na statek czekający w porcie – którego motto brzmiało *Statio Bene Fida Carinis*, czyli „Bezpieczne miejsce dla okrętów” – i na pokładzie tego statku wypłynęła prosto w bezkresne morze. Płatek za płatkiem, Kate zostawiała za sobą ślad,

zupełnie jak dziewczynka z chlebem, która nie myśli o lisach i królikach tylko o domu.

Wyjechała zaledwie sześć lat temu, ale miała wrażenie, jakby od tego czasu minęło pół życia.

Kate prawie dopiła herbatę, kiedy pan Charles wreszcie wyłonił się z gabinetu. Zdążyła dwa razy uporządkować swoje biurko, przestawiając serię oprawionych w ramki zdjęć siostrzeńca – małego Mike'a – z lewej na prawą, a później z powrotem, w oczekiwaniu, aż przełożony skończy rozmawiać przez telefon.

– Myślałem, że zestarzeję się z tą słuchawką w ręku – powiedział pan Charles. – Panna Sophie doprawdy ma gadane. – Miał na sobie swój najlepszy garnitur: gołębioszara kamizelka, czarna marynarka w prążki i szare spodnie z zakładkami. Poza tym trzymał dużą kopertę z prezydencką pieczęcią. – Jak myślisz, co to takiego?  
– Nie potrafię sobie wyobrazić.

A jednak potrafiła. Kate była w stanie wyobrazić sobie najróżniejsze cudowne rzeczy w tej kopercie – od szmaragdowej sukni balowej do ziemi, ozdobionej w całości kryształami od Swarovskiego, po jedwabną sukienkę koktajlową w czystej bieli, z czarną satynową kokardą. Gdy chodziło o Żonę i Maison Blanche (jak wszyscy nazywali Biały Dom), możliwości oraz budżet były nieograniczone.

– To list miłosny – powiedział pan Charles i otworzył kopertę.

Wewnątrz znajdował się szkic akwarelą, wycinek z magazynu „Life” z czterema modelkami prezentującymi ten sam kostium Chanel w różnych kolorach i wariacjach oraz list od sekretarza na papeterii z wytłoczonym nagłówkiem Maison Blanche. Cały pokój wypełnił nagle zapach Chanel No. 5. Wycinek z „Life” dotyczył powrotu Chanel. Francuska projektantka, będąca obecnie mniej więcej w wieku panny Nony, wróciła z emerytury, by stworzyć kostium, który stanie się pozycją obowiązkową w garderobie każdej damy z country klubu. A Żona chciała taki mieć.

Jak to bywało z niemal wszystkimi osobistymi zamówieniami, Pierwsza Dama naszkicowała własną wersję tego, jak kostium powinien wyglądać. Miała spory talent do projektowania, nie mówiąc o malowaniu. Akwarelka była niezmiernie wesoła. Żona miała wyciągniętą jedną rękę, jakby ktoś właśnie porwał trzymaną na niej tacę. Druga dłoń spoczywała pewnie na talii. Maison Blanche umieszczony był w tle, ale górował nad wszystkim. Żona wyglądała jak wytworna dziewczyna, którą lada moment porwie wicher historii. Uśmiechała się szelmowsko, a w jej oczach migotały figlarne chochliki. Z tyłu głowy miała różowy toczek – nie zakrywał jej pięknej twarzy, jak to kapelusze czasem potrafią. Pod szkicem było napisane: „Skoro znów ma to być ten nieszczęsny toczek, dopilnujcie, proszę, żeby nie wyglądał, jakby ktoś ukradł go małpce katarzyniarza. Nie powinien przypominać kapelusza”.

Kate wiedziała, że w ekskluzywnym domu towarowym Bergdorf Goodman zatrudniono nowego człowieka do projektowania kapeluszy dla waszyngtońskiej elity. Pan Charles powiedział, że Halston – to imię mówiło wszystko – jest bardzo skrupulatny. Przyszedł z pracowni Lilly Daché. Ma ten sam rozmiar głowy co Żona, przymierza jej kapelusze i ogląda je w dwóch lustrach naraz, tak żeby dobrze wyglądały pod każdym kątem i idealnie leżały. Kate nie była w stanie sobie wyobrazić, jak głupio ten człowiek musi wyglądać w niektórych z nich, zwłaszcza w tym ostatnio zaprojektowanym letnim słomkowym kapeluszu z kokardą w zielone grochy. Ostateczny efekt był jednak satysfakcjonujący i tylko to się liczyło.

Choć szkic był figlarny, to wskazówki Żony dotyczące konstrukcji były całkiem ścisłe. Od dziecka miała bzika na punkcie mody i projektowania własnych ubrań. Jako studentka ostatniego roku wygrała nagrodę w konkursie „Vogue’a” Prix de Paris esejem, który rozpoczynał się kapryśnym stwierdzeniem: „Gdybym mogła zostać kimś w rodzaju Dyrektora Artystycznego Dwudziestego Wieku i oglądać wszystko z fotela zawieszzonego w przestrzeni...”. Pasjonowała ją detale.

– Dlaczego to list miłosny? – zapytała Kate.

– Prezydent chce, żeby to dostała. I chce, żeby zajęło się tym Chez Ninon.

Nagle otworzyło się tylne wejście. Schwinn natychmiast zauważył kopertę.

– Czy to Gwiazdka?

– Gwiazdka – odparł pan Charles.

Gwiazdka była zawsze, kiedy z Maison Blanche nadchodziło zamówienie.

Schwinn był drobny i piegowaty. Miał wypłowiałe od słońca blond włosy, które wyglądały, jakby oblizwała je krowa. Zawsze ubierał się tak samo: schludnie wyprasowana biała koszula, czarne spodnie i czarny krawat. Pracował w pierwszej linii, razem z Paniami, zamiast marynarki jednak nosił wiatrówkę, przez co sprawiał wrażenie, jakby wpadł do pracowni tylko na chwilę, po drodze. Kate nigdy nie spotkała nikogo podobnego do niego. Wyglądał, jakby był mniej więcej w jej wieku, czyli koło trzydziestki, ale równie dobrze mógł być starszy albo młodszy. W odróżnieniu od większości mężczyzn lubił nie samochody, a rowery. Wiedział o nich tyle, że niektóre dziewczęta z działu ubrań gotowych przypuszczały, iż należy do słynnej rodziny Schwinnów, właścicieli wytwórni rowerów, być może jest ich synem. Kate jednak była zdania, że Schwinn to tylko pseudonim. Zapytała go kiedyś o to, a on odparł:

– Skoro Schwinn to dobra nazwa dla roweru, to dla mnie też jest dobra.

Kate nie była pewna, co on chce przez to powiedzieć, ale taki to już był człowiek.

Schwinn zajmował się sprzedażą, ale oficjalnie pracował na stanowisku „stylisty”, co zdawało się oznaczać, że pomaga kobietom dobrać akcesoria do strojów – poza tym jednak był także projektantem. Miał na boku własny interes, robił kapelusze dla niektórych klientek. Kate sądziła, że Panie prawdopodobnie o tym wiedzą, ale przymykają na to oko. Wszyscy lubili



Schwinnna, zwłaszcza klientki. Był zabawny i pełen zapału. Poza tym katolik, co też podobało się Kate.

Było w nim jednak także coś, co przywodziło na myśl głęboki smutek. Oczy miał szare z zielonymi cętkami i nigdy nie spoglądał na nikogo wprost. I był skryty. Przez sześć lat Kate dowiedziała się tylko dwóch rzeczy na temat jego przeszłości – że studiował sztukę i że przerwał studia, żeby walczyć na wojnie z Koreą. Powiedział jej, że nic poza tym nie warto wiedzieć.

Schwinn wziął do ręki szkic Żony i przyjrzał mu się uważnie.

– On chce, żeby miała coś nowego do ubrania – powiedział pan Charles. – Nigdy wcześniej nie miał takich pomysłów.

– Nawet prezydent może być zakochany. To pewnie prezent na zgodę po tym, jak podczas wyborów prasa odsądziła ją od czci i wiary za noszenie francuskich ubrań.

Wszyscy nadal gubili się w domysłach, kto powiedział „Women’s Wear Daily”, niewielkiej gazecie branżowej, że w trakcie kampanii Żona wydała trzydzieści tysięcy dolarów na ubrania z Paryża. „Elegancy i czarujący – napisali o przyszłym prezydencie i jego żonie – kandydują z listy Paryskiego Krawiectwa”.

Zarobki przeciętnego Amerykanina wynosiły wówczas pięć tysięcy sześćset dolarów rocznie, kiedy więc artykuł się ukazał, pani Nixon zaczęła głądzić o nieamerykańskich strojach Żony. Bez końca opowiadała o tym, jak to ona sama kupuje swoje ubrania wyłącznie na wyprzedazach w niedrogich domach towarowych.

Żona zamierzała to zignorować. Ale gdy tekst przedrukowała agencja Associated Press, wszyscy nagle zapragnęli przeczytać „Women’s Wear Daily” i wybuchł skandal. Pierwsza Dama zostawszy zmuszoną do odniesienia się do tych spekulacji, wypowiedziała się na łamach działu mody „The New York Times” – „nie byłabym w stanie tyle wydać, chyba że nosiłabym bieliznę z soboli” – po czym biuro wyborcze wydało oświadczenie, iż Żona jest „zasmucona insynuacjami o jej rozrzutności oraz przesadnym podkreśleniem roli mody w jej życiu”. Sytuacja wymknęła

się spod kontroli i gazety na terenie całego kraju zaczęły drukować niepochlebne teksty o „napuszonych włosach” Żony i nie tylko. Wreszcie „Women’s Wear Daily” przeprosiło całą rodzinę i okrzyknęło Pierwszą Damę „Jej Elegancją”. Kiedy dostrzegli, jakiego cierpienia jej przysporzyli, przysięgli nigdy więcej jej nie krytykować. Niemniej wizerunek Żony został nadszarpnięty. Jeszcze osiem miesięcy po wyborach dziennikarze nadal krążyli wokół niej jak sępy, czekając, aż powtórzy ten błąd.

– Ten różowy kostium to może być bardzo zły pomysł – odezwał się pan Charles. – Jest ewidentnie francuski. Maison Blanche chce, żebyśmy zapłacili Chanel za prawo do uszycia dokładnej repliki. Jeżeli ktoś o tym usłyszy...

– Nie będzie to takie istotne – powiedział Schwinn. – Jeżeli my go uszyjemy, kostium będzie amerykański. Dziennikarze nie będą mogli nic jej zrobić. Skoro my go stworzymy, ona nikomu nie odbiera chleba. Będzie mogła ubrać się po parysku, unikając krytyki – to nadzwyczajny prezent.

Jeśli Schwinn się nie mylił, prezent był naprawdę sprytny.

Nadeszła reszta personelu z zaplecza, gęgając jak gęsi. Potem zjawiała się Maeve, jak zwykle spóźniona. Maeve zajmowała się przymiarkami. Mieszkała w Inwood, tak jak Kate. Miała pod sześćdziesiątkę i była niezamężna. Irlandka, naturalnie. Włosy miała koloru stali, a ramiona potężne, niemal kwadratowe.

– Gwiazdka?

– Gwiazdka – odparł pan Charles.

Maeve spojrzała na szkic, który trzymał Schwinn.

– Ta kobieta bardzo zręcznie gryzmoli – powiedziała. – Ale Chanel wcale się to nie spodoba. Jest strasznie różowe.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Róż jest granatem Indii.*

Diana Vreeland

Kostium właściwie nie był różowy, lecz malinowy. Tak nazywała ten kolor Coco Chanel, więc Żona również zaczęła tak na niego mówić. Niemniej studio Chez Ninon określało go jako „różowy”. Różowy. Różowy.

To irytowało Chanel. Wszystko w jego prośbie ją irytowało, a zwłaszcza kombinacje Żony. Teraz chcieli mieć na niego licencję, jakby był oryginalny.

Było już popołudnie, kiedy do biura przy ulicy Cambon numer 31 dotarł telegram. Projektantka znajdowała się sześć pięter wyżej, w swoim prywatnym atelier. Klęczała, a z jej szyi zwisały małe złote nożyczki zawieszzone na czarnej, aksamitnej wstążce. Na niedożywionej modelce zapinała sztukę wełnianej krepy. Asystent, który miał na sobie zdecydowanie za dużo czarnego kaszmiru, jak na tak ciepły dzień w tak ciepłym pokoju, jeszcze raz przeczytał Chanel telegram od Chez Ninon. Projektantka westchnęła. Pokręciła głową, ale nic nie powiedziała.

– Podnieś ręce – zwróciła się do modelki. – Dobrze. Opuść ręce. Dobrze. I jeszcze raz.

Ściany w pracowni składały się z szeregów luster po to, by Chanel mogła się przyjrzeć, jak czarna wełna reaguje na ruch i jak wygląda w świetle. Modelka machała rękami w górę i w dół przynajmniej od godziny, a może i dłużej. Chanel usiłowała doprowadzić otwór na rękaw w sukience do absolutnej perfekcji.

– I jeszcze raz.

Modelka była bliska płaczu.

Wciąż na posterunku w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat – Chanel robiła wrażenie osoby tyleż ważnej, co wiekowej. Miała na sobie to co zazwyczaj – kapelusz i kostium. Kapelusz był czarny i hiszpański, inspirowany stylem sewilskich kowbojów. Jego główka przypominała warstwę tortu. Kostium, który Chanel miała na sobie i w którym chodziła niemal codziennie, stracił guziki i zamiast nich miał agrafki. Był przetarty pod pachami, ale ona go uwielbiała. Wykonany z materiału stanowiącego jej wizytówkę – numer H1804, z zakładów Linton Tweeds – był mieszanką wełny i moheru w kolorze écru. Wyglądał, jakby ufarbowano go dwoma minimalnie różnymi odcieniami tej samej barwy. Było jednak inaczej. Niczym w sztuczce magicznej. Każda przędza inaczej przyjęła kolor, toteż moher sprawiał wrażenie, jakby był w odcieniu bieli ciemniejszym niż dziewicza wełna, co nadawało kostiumowi wygląd biało-białej szachownicy. Chanel przepadała za tego rodzaju subtelnoscią. Jak zawsze miała na sobie perły. Mnogość sznurów zdawała się wydłużać jej szyję, przez co nieco przypominała strusia.

Sukienka doprowadzała Chanel do pasji.

– I jeszcze raz – powiedziała do modelki.

Dziewczyna znów uniosła drżące ramiona nad głowę. Pokój był przegrzany. Główny asystent Chanel przybrał odpowiednio znudzoną minę, wpatrując się w siebie w szeregach luster. Miał na sobie złote binokle, które podkreślały wyraziste rysy jego twarzy,

ale nie spełniały żadnej funkcji praktycznej. Choćby było mu nie wiadomo jak ciepło, musiał tu stać, pocić się i czekać na odpowiedź *mademoiselle* – niezależnie od tego, ile to potrwa. Mężczyzna trzymał telegram dwoma palcami, z dala od siebie, jakby papier ociekał wilgocią.

Krawiec, również ubrany od stóp do głów w czerń, podawał Chanel szpilkę za szpilką. On także był blady i spocony. Projektantka zdawała się nie zauważać niczyjego dyskomfortu. Jej zawsze było zimno, toteż panujący w pokoju upał jej odpowiadał. Ogromna sztuka czarnej wełny przytłaczała modelkę, zlewała się z czarnymi włosami i stanowiła mocny kontrast z uderzająco zielonymi oczami. Chanel udrapowała ciężką tkaninę wokół kruche go ciała dziewczyny i nad jej głową, tworząc coś w rodzaju mnisiego kaptura. Wełna potęgowała upał panujący w pomieszczeniu, ale nikt nie zaproponował modelce ani szklanki wody, ani chwili odpoczynku. Kaptur był nieposłuszny, a otwory na rękawy nadal nie chciały ułożyć się płasko. Dłonie Chanel drżały lekko, kiedy po raz kolejny zapinała szpilki.

– Jeszcze raz. Ręce prosto do góry. Zostań tak.

Sukienka miała być tegoroczną małą czarną – „MC”, jak nazywała ją projektantka i jak nazywali wszyscy od roku 1926, kiedy to Chanel ogłosiła, że czerń nie powinna być zarezerwowana tylko dla księży, pokojówek i zakonnic. Jednak po dziesiątkach przymiarek w ciągu czterech dni sukienki nadal nie sposób było uznać za skończoną.

Chanel była zdeterminowana, żeby poradzić sobie z nieposłusznym otworem na rękaw niezależnie od tego, ile czasu to zajmie. Złotymi nożyczkami wiszącymi na szyi rozcięła fastrygę, którą dopiero co założyła.

– Telegram. Jeszcze raz – odezwała się do asystenta.

Mężczyzna odczytał neutralnym głosem: „Pilnie potrzebna licencja dla Maison Blanche STOP dokładna replika kroju kostiumu z magazynu »Life« STOP różowy STOP prześlijcie

model STOP potrzeba różowej tkaniny i dodatków STOP musi być różowy STOP ile STOP”.

Na co Chanel odparła:

– Stop.

Zazwyczaj jej pochlebiało, kiedy ktoś kopiował jej prace. Rozkoszowała się paradoksalną sytuacją, w której kostiumy zaprojektowane przez nią na lunchu z szampanem w La Grenouille produkowano masowo dla pracowników biurowych, jadających z papierowych torebek w źle oświetlonych pomieszczeniach. Jednakże ze względów politycznych – jak zawsze – ten kostium „Chanel” miał zostać wykonany w Ameryce, „dokładna replika” na licencji, z wykorzystaniem własnego materiału i dodatków Chanel. W różu. Miał być różowy. Różowy. Różowy. Różowy. Nie malinowy, jak brzmiała właściwa nazwa tego koloru.

– Ci ludzie mnie denerwują – powiedziała do asystenta. Mężczyzna ze swoim ironicznymi binoklami na nosie pokiwał głową.

Chanel nigdy wcześniej nie pracowała z Paniami, ale znała je oczywiście. Ciągle jeszcze miała im za złe, że Chez Ninon rozpowiada wokół, iż ich kopie jej ubrań są lepsze niż oryginały. To były bezwstydnne podróbki, nigdy przez nią nieautoryzowane. Niemniej te kobiety w ten sposób przechwalały się przed wszystkimi jej najlepszymi klientami.

– Ich klientki w Nowym Jorku przychodzą na cztery przymiarki i Chez Ninon uważa, że to dla nich powód do chluby. Nam wystarczy jedna – za pierwszym razem robimy to jak należy.

Ten kostium był nie tylko szczególnie ulubiony przez Chanel, lecz także był ubiorem przełomowym. Rozkładówce w magazynie „Life” towarzyszył opis: „elegancko skrojony, dopasowany do figury kształt”. A jednak był przy tym łaskawy. Nawet osoba pulchna niczym pączek wyglądała w nim wspaniale. Podwójne kieszenie po obu stronach przyciągały wzrok i sprawiały, że żakiet wyglądał na dopasowany, choć taki nie był. Był nowoczesny i ponadczasowy.

Zawsze można projektować modę, ale projektowanie piękna to zupełnie inna historia. Chanel zamknęła swoje sklepy w 1939 roku i na całe lata wycofała się z interesów, a jej odbiorcom trudno było zrozumieć pogłoski o tym, jakoby była w zмовie z hitlerowcami. Teraz jednak, dzięki temu kostiumowi, wielka projektantka powróciła. Przebaczone jej. Znów się liczyła. Znów otaczano ją czcią. Po stworzeniu tego kostiumu nie można jej było odmówić należnego miejsca na kartach historii.

Chanel obchodziła modelkę dookoła. Przyglądała się. Mierzyła. Rozważała. Była jak naukowiec przy pracy.

– Czemu ci Amerykanie zawsze chcą wiedzieć ile? – odezwała się.

Modelka twardo trzymała ręce nad głową. Upał jednak był dla niej coraz trudniejszy do zniesienia. Chanel mocno pociągnęła za materiał. Dziewczyna starała się nie stracić równowagi, ale pochyliła się nieco do przodu. Projektantka szorstko przesunęła ją z powrotem na miejsce.

Modelka poruszyła lekko głową, jakby usiłowała wyprostować kręgosłup.

– Czy ja cię nudzę? – zapytała Chanel.

– Nie, *mademoiselle*.

– Dobrze. Cieszy mnie to. Wyprostuj się.

– Tak, *mademoiselle*.

– Tak?

– *Oui*.

– *Oui*. Bardzo dobrze. – Chanel nie była nieuprzejma, lecz pomocna. – Francuski to język dyplomatów. Nigdy nie będziesz popularna, jeśli się go porządnie nie nauczysz. A teraz opuść ręce, tylko powoli.

– *Merci*.

– A teraz znów je podnieś. Powoli. I opuść. I jeszcze raz.

Pomimo ogromnego dyskomfortu modelka nie okazywała żadnych emocji. Patrzyła prosto przed siebie. Asystent poprawił na

nosie swoje binokle – robił to dosyć często, jakby chciał zwrócić na nie uwagę – po czym odchrząknął.

– *Mademoiselle*, co mamy odpowiedzieć na ten telegram?

Chanel zamknęła na chwilę oczy, jakby chciała zebrać myśli. Potem zapaliła papierosa. Żona była bardzo dobrą klientką, i doprawdy prześliczną, ale po wyborach sytuacja zrobiła się absurdalna. Przez jakiś czas Chanel zgadzała się na wybieg polegający na sprzedawaniu siostrze Żony sukienek dla „kuzynki przyjaciółki”, pewnej bliżej nieokreślonej „wysoko urodzonej Sycylijki”, która była zbudowana dokładnie tak jak Pierwsza Dama – ciało chłopca o wzroście metr siedemdziesiąt, z szerokimi ramionami, dużymi dłońmi i stopami w rozmiarze 42. Obie kobiety miały również taki sam gust.

– Wyobraźmy sobie, że jej mąż jest prezydentem Francji – miała siostra.

Francji?

To zakrawało na obelgę. Gotowe ubrania wysyłano przez kuryera dyplomatycznego do Waszyngtonu – podobnie jak duże ilości Chanel No. 5. Nie tylko perfumy, z ich intensywnymi nutami wanilii i bugenwilli, lecz także wodę perfumowaną, pachnącą różą stulistną oraz ylang-ylang, a nawet wodę toaletową, ciężką od woni drzewa sandałowego. Rzekoma Sycylijka kupowała wszelkie gatunki i odmiany Chanel No. 5 – na poranek, dzień i wieczór – a rachunek przesyłano teściowi Pierwszej Damy do Hyannis Port. Wszystko to razem było w najlepszym razie śmieszne.

Ta prośba Chez Ninon o model z muślinu, ubranie testowe, była męcząca. Chociaż tworzenie dokładnych replik projektów nie było niczym niezwykłym – zwyczaj ten regulowało nawet Chambre Syndicale de la Haute Couture et du Prêt-à-Porter, uspokajając w ten sposób Międzynarodowy Związek Wytwórców Odzieży Damskiej – to Chanel zawsze odnosiła się do tego niechętnie. Zrobienie kopii, która zawsze będzie czymś gorszym, to jedno, ale umożliwienie komuś dokładnego odwzorowania jej pracy, jej wizji, jej sztuki, to już było zupełnie co innego. Dlaczego



miałaby pozwolić, żeby ktoś inny podpisał się pod jej dziełem? W 1957 roku zrezygnowała z członkostwa w *Chambre Syndicale*. Nie mieli nad nią żadnej władzy. Mogła robić, co chciała, a tym razem po prostu nie chciała.

Chociaż interesujące było to, że prośba nie pochodziła od Olega Cassiniego, który został teraz mianowany (jak to nazwał) oficjalnym „krawcem” Żony. To dobrze – pomyślała Chanel. Może się pokłócili.

Wszyscy byli zszokowani, kiedy redaktorka z „*Harper’s Bazaar*”, pani Vreeland, poleciła Cassiniego Pierwszej Damie. Nie do pojęcia było, dlaczego Vreeland promuje mężczyznę z taką reputacją – znanego playboya. Jego pierwsza konferencja prasowa w Nowym Jorku trafiła na pierwsze strony gazet. W hotelu Pierre, z koktajlem w dłoni i czarującym krzywym uśmiechem, oznajmił, że pokazy garderoby Pierwszej Damy będą się odbywać dwa razy do roku, przy czym prasa nie będzie na nie zapraszana. Uczestnikami wydarzenia będą wyłącznie członkowie *New York Couture Group* – miejscowi producenci odzieży.

– Prasa nie zna się na modzie – oświadczył. Wszyscy wstrzymali oddech.

Jego woda kolońska także była przytłaczająca.

Była to pierwsza i zarazem ostatnia konferencja prasowa, jaką kiedykolwiek urządził pan Cassini. Jak Pierwsza Dama, taka miłośniczka Chanel, mody francuskiej i, co najważniejsze, szmizjerki – wydrwionej przez Cassiniego podczas pokazu, na który uszył wersję tej sukienki z juty i kazał modelce zasypać wybieg ziemniakami – jak ta właśnie kobieta mogła wybrać sobie takiego człowieka na projektanta?

Niepojęte. Kłótnia byłaby doprawdy bardzo dobrą wiadomością.

– Skończyliśmy – powiedziała Chanel do modelki, po czym uśmiechnęła się czarująco. – Do zobaczenia jutro?

– *Oui, mademoiselle. Merci.*

– Dobrze.

– A telegram? – zapytał znowu asystent. – Co mam na niego odpowiedzieć, *mademoiselle*?

– Idę do domu pomyśleć.

\*

Od kilkudziesięciu lat, a konkretnie od początku drugiej wojny światowej (choć z przerwami), hotel Ritz był dla Chanel domem. Znajdował się po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko należącego do niej sklepu. Jej pokój był niepodobny do żadnego innego. Mieścił się na strychu i nie był luksusowy, lecz mały i położony na uboczu. Zwykle łóżko z białą pościelą w pokoju o białych ścianach. Jedyłą jego ozdobę stanowił kłos pszenicy, o którym ojciec Chanel powiedział kiedyś, że to talizman i że przyniesie jej szczęście. W pokoju panowała głęboka cisza, podobnie jak w prowadzonej przez zakonnicę szkole, gdzie *mademoiselle* spędziła młodzieńcze lata. Dobrze się tutaj myślało.

Chanel umyła ręce i twarz mydłem ługowym. Nie znosiła zapachu skóry. Zapaliła kolejnego papierosa, wyszła na dach z kieliszkiem czerwonego wina i spojrzała na Paryż. Z tej wysokości miasto sprawiało wrażenie zrobionego z kremu – ale pożółkłego i zakurzonego, jakby ktoś przygotował go z myślą o cieście, które nie zostanie zjedzone, tylko będzie się śnić. To nie było już miasto jej młodości. Tyle w nim ludzi, tyle hałasu.

– Amerykanie. – Westchnęła.

Kiedy nad Paryżem wzeszedł różowy księżyc – tak przynajmniej miały później opowiadać tę historię Panie – Chanel zdecydowała wreszcie, że odstąpi im kostium. Skoro ten konkretny projekt Chanel miał trafić do Ameryki i zostać wykonany amerykańskimi rękami, należało obwarować to odpowiednimi restrykcjami i ustaleniami. Zwłaszcza jeżeli miały się do niego zbliżyć Cassini. Estetyka tego człowieka była strasznie wulgarna albo, jak on to nazywał, „sexy”: same wysokie rozcięcia, głębokie dekolty i wielka egzaltacja. Żadnej subtelności. Żadnej zmysłowości.

Co do pytania „ile?”, Chanel wypisała doprawdy niemałą kwotę. Kiedy następnego dnia nadszedł od niej telegram, Sophie pokazała Nonie list z żądaniem okupu, jak to nazwała, i zaczęły się śmiać. Ich odpowiedź została nadana godzinę później: „Prosimy zatemperować ołówki i policzyć to jeszcze raz”.

Choć samą Chanel, jako osobę, trudno było podrobić, to o kostiumie nie dało się powiedzieć tego samego. Projekt był bardzo prosty. Skończony produkt mógł nie mieć wszystkich smaczków Chanel, nie leżeć aż tak dobrze czy nie być tak przyjemny w dotyku, byłby jednak podobny, dałoby się go zrobić w czasie o połowę krótszym i za ułamek tej sumy. Uszycie samej bluzki kosztowałoby trzy dolary, ale Panie mogły sobie za nią zażyczyć trzysta dolarów – i tak każdy chętnie by tyle zapłacił. Zakup modelu i licencji był absurdalny i niepraktyczny, Maison Blanche jednak nalegał. Chez Ninon musiałyby też zapłacić Chanel za prawo do wykorzystania materiału, specjalnego złotego łańcuszka, który wszywało się w obrąbek marynarki, żeby się odpowiednio układała, oraz złotych guzików z literkami „CC”. One same miały kosztować dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Chez Ninon zazwyczaj liczyło sobie trzy i pół tysiąca dolarów za swoje kostiumy „od Chanel”, które robione były z podobnego materiału i guzików, ale szyte na maszynie i tylko w niewielkim stopniu wykańczane ręcznie. Niestety, Maison Blanche zaznaczył wyraźnie, że cały kostium nie może kosztować więcej niż tysiąc dolarów, a najlepiej poniżej ośmiuset pięćdziesięciu. I nie było żadnego sposobu, żeby oszczędzić sobie przy nim pracy. Różowy kostium miał być dokładną repliką, toteż musiał zostać w całości uszyty ręcznie. Nie tylko zarobienie na nim, lecz nawet wyjście na zero było niemożliwe – być może właśnie z tego powodu Maison Blanche nie poprosił Cassiniego – niemniej jednak Panie nie odmówiły. Ubieranie osoby z towarzystwa to jedno, ale ubieranie tej samej osoby, kiedy została Pierwszą Damą, było zaszczepem, z którego nie mogły tak łatwo zrezygnować.

Panna Nona wpisała kostium w grafik produkcji.

– To zaledwie osiem tygodni do dostarczenia – zauważyła panna Sophie.

– Chanel w końcu ustąpi – powiedziała panna Nona, ale jej głos nie brzmiał zbyt pewnie.

\*

Kiedy upłynął tydzień bez telegramu czy telefonu, bez jakiegokolwiek odpowiedzi, pewność panny Nony osłabła. Zaczęła się zastanawiać, czy żądanie zniżki od ikony może zostać odebrane jako... – nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa.

– Niestosowne? – podsunęła Sophie. – Obrażliwe?

Panna Nona myślała raczej o „zabawne”.

Wiedziała, że może się to okazać bardzo kosztownym przeliczeniem. Panna Sophie zamówiła już materiał od dostawcy Chanel, Linton Tweeds w Kumbrii – cena za jard zmroziła jej krew w żyłach. Powinny były poczekać, aż Chanel się zgodzi. Nie mogły wykorzystać materiału bez jej zezwolenia, ale czas uciekał. Kostium miał zostać włożony w pierwszym tygodniu listopada, czyli zaledwie za siedem tygodni. Prezydent planował weekend z rodziną. Miała to być ich pierwsza wizyta w Camp David – i zanosiło się na to, że będzie ona również ostatnią. Żona wynajęła już posiadłość na wsi pod Waszyngtonem, gdzie trzymała konie. Dla Pań było oczywiste, że Pierwsza Dama potrzebuje tego różowego kostiumu, aby roztoczyć wokół siebie atmosferę pogodnej kobiecości (oraz niesłabnącego zdrowego rozsądku), tak by sfotografowana podczas oznajmiania, że Camp David jest zbyt zaściankowe, wyglądała na osobę rozsądną.

Panna Nona nie mogła dłużej czekać.

– Zatelefonuję do Chanel.

– Do Paryża? To sześć dolarów za minutę – stwierdziła Sophie.

Nona i tak poprosiła o połączenie. Każdy dzwonek brzmiał jak grzechotanie blaszanych puszek. I wreszcie głos:

– *Allo, oui?*

Wydawał się bardzo odległy.

– Do *mademoiselle* Chanel. Chez Ninon – powiedziała telefonistka.

– *Non.*

– *Non?* – Panna Nona nie mogła w to uwierzyć. – Proszę zapytać, czy mogę zostawić wiadomość. *Pouvez-vous prendre un message?*

– *Non.*

Połączenie zostało przerwane.

*Bluzka miała zostać wykonana ze szczególnego rodzaju jedwabnej szarże. Tkanina była niezrównanie miękka, toteż trzeba było zszyć ją za pomocą czarów i nadziei. Kostium był niewiarygodnie delikatny i dekadentki. Wszystko w nim było luksusowe i zmysłowe – i na tym polegała jego tajemnica.*

*Kopia czy nie, uszycie czegoś takiego było niewyobrażalne.  
Cudownie niewyobrażalne.*



Kate wiedziała, jakie zachwyty wzbudzi ten piękny strój, kiedy włoży go Jackie Kennedy. Pierwsza Dama była ikoną stylu, każda kobieta chciała wyglądać tak jak ona.

Kate знаła jej ubrania na pamięć. Każda pliska, każdy szew, każda haftka przechodziła przez jej ręce.

To ona uszyła legendarny różowy kostium *à la* Chanel.

N.M. Kelby wyrafinowanym literackim ścięciem zszywa ze sobą losy dwóch kobiet – jednej stojącej w świetle reflektorów, drugiej wiecznie ukrytej za kulisami. Ukazuje od podszewki świat tworzącej się amerykańskiej mody, opisując zmagania nowojorskiego butików Chez Ninon z europejską królową mody – Coco Chanel. Efektem jest powieść niczym kreacja *haute couture* – olśniewająca, elegancka, ponadczasowa.

**answer.**

 **szafa.pl**

E-book dostępny na  
**woblink.com**

Cena 36,90 zł

ISBN 978-83-240-2691-3



9 788324 026913